

Szambelan barona Ergella wprowadził Willa do gabinetu z gestem, który przypominał coś pomiędzy prostym pozdrowieniem a teatralnym ukłonem.

– Nowy zwiadowca, wasza wysokość – oznajmił, jak gdyby osobiście sprowadził go dla przyjemności barona. – Will Treaty.

Ergell podniósł się z za potężnego biurka, które dominowało nad innymi meblami w komnacie. Baron był człowiekiem nadzwyczaj wysokim i chudym, i przez chwilę na widok jego długich, jasnych włosów i czarnych szat Will miał nieprzyjemne wrażenie, że patrzy na nowe wcielenie złego lorda Morgaratha, który zagrażał pokojowi w królestwie w czasach dzieciństwa Willa. Potem uświadomił sobie, że włosy są siwe, a nie zupełnie białe jak u tamtego, a Ergell, chociaż wysoki, nie może się nawet równać ze wzrostem Morgaratha. Minęła chwila i Will zdał sobie sprawę, że gapi się na barona, który stoi wyciągając do niego rękę. Pospiesznie ruszył do przodu.

– Dzień dobry, wasza wysokość – odezwał się. Ergell ochoczo potrząsnął jego dłonią. Miał około sześćdziesiątki, lecz nadal poruszał się z łatwością. Will wręczył mu pergamin zawierający jego oficjalny rozkaz przydziału. Zgodnie z zasadami, strażnik przy moście zwodzonym powinien był go od niego wziąć i dostarczyć Ergellowi do przejrzania, zanim Will został wpuszczony do stołpu. Ale sierżant stojący na straży tylko spojrzął na pelerynę zwiadowcy i na jego długi łuk, i machnął mu ręką, żeby wjeżdżał do środka. Zaniedbanie, pomyślał Will. Zdecydowanie zaniedbanie.

– Witamy w Seacliff, zwiadowco Treaty – odrzekł baron. – To zaszczyt mieć kogoś tak znamienitego w naszej służbie.

Will lekko zmarszczył brew. Zwiadowcy nie służyli baronom, do których byli przypisani, i Ergell powinien o tym wiedzieć. Być może, pomyślał Will, baron próbuje roztoczyć nad nim swoją władzę prostym zabiegiem zasugerowania, że takową władzę posiada.

– Wszyscy służyliśmy królowi, panie – Will odparł ze spokojem, a przelotny cień, który przemknął po twarzy Ergella, potwierdził, że jego podejrzenie było trafne. Ergell, widząc, że zwiadowca jest tak młody, mógł spróbować szczęścia, jak by to powiedział Halt.

– Oczywiście, oczywiście – baron odparł prędko, a potem wskazał na potężnie zbudowanego mężczyznę stojącego obok biurka.

– Zwiadowco Treaty, oto Mistrz Szkoły Rycerskiej lenna Seacliff, pan Norris z Rook.

Will określił sobie w myślach wiek Norrisa na około czterdzieści lat, czyli całkiem typowy u Mistrzów Szkół Rycerskich. Znacznie młodszy człowiek nie posiadałby niezbędnego doświadczenia, żeby poprowadzić do bitwy oddział rycerzy i zbrojnych całego lenna. Zbyt stary, zaczęłyby tracić fizyczne siły konieczne do podążania zadaniu.

– Panie Norris – odezwał się krótko na przywitanie. Uścisk dłoni rycerza był silny, ale nic w tym dziwnego. Mężczyźni, którzy spędzali większą część życia dzierząc miecz albo topór bojowy, zazwyczaj wykształcali sobie potężne mięśnie w rękach i ramionach. Will wyczuł, że Mistrz Szkoły Rycerskiej przypatruje mu się, gdy podawali sobie ręce; dostrzegł prędkie badawcze spojrzenie, które zanotowało jego młody wiek i drobną budowę.

Willowi zdawało się, że jest coś jeszcze – cień satysfakcji z tego, co ujrzał rycerz. Być może, po tym, jak przez lata miał do czynienia ze znającym się na rzeczy i doświadczonym Bartellem, Norris przewidywał łatwiejsze czasy z tym nowym, świeżo upieczonym zwiadowcą. Will poczuł lekkie ukłucie rozczarowania na tę myśl. Halt i Crowley, komendant Korpusu, przestrzegali go, że niektóre lenna postrzegają swoje relacje ze zwiadowcami jako napięte.

„Zbyt wielu z nich widzi to jako sytuację „my i oni”, powiedział mu Crowley, wprowadzając go w nową funkcję. „Bądź co bądź, do naszych zadań należy sporządzanie sprawozdań na ich temat, ocena ich gotowości bojowej i ich poziomu umiejętności i wyszkolenia. Niektórym baronom i Mistrzom Szkół Rycerskich to się nie podoba. Lubią myśleć, że liczą się tylko oni, i nie zależy im, by zwiadowcy zaglądali im przez ramię”.

Will wiedział, że w Zamku Redmont nigdy tak się nie działo. Ale Halta i Aralda łączyły doskonałe relacje i głęboki wzajemny szacunek. Zachował sobie tę myśl na później, bo wdał się w uprzejmą pogawędkę odpowiadając na pytania Norrisa i Ergella dotyczące jego podróży.

Ergell, zdał sobie sprawę Will, zapraszał go na obiad na zamku. Nowo upieczony zwiadowca uśmiechnął się grzecznie, wymawiając się od pozornego zaszczytu.

– Być może któregoś dnia w tym tygodniu, wasza wysokość. Nie godzi się, żebyś sprawiał zamieszanie. Bądź co bądź, nie mogłeś wiedzieć, że przybędę dzisiaj, i z pewnością już poczyniłeś plany na dzisiejszy wieczór.

– Oczywiście, oczywiście. Któregoś dnia w tym tygodniu, kiedy już się zadamowisz – zgodził się baron. Will poczuł, że to całkiem sympatyczny człowiek, pomimo jego próby subtelnej umniejszenia autorytetu Willa. Jego uśmiech był ciepły i serdeczny. – Może moglibyśmy przysłać ci na później coś z naszej kuchni?

– Nie ma potrzeby, wasza wysokość. Kobieta z wioski, Edwina, zostawiła mi już wielce wyborną potrawkę z wołowiny. Sądząc po zapachu, na dziś wieczór wystarczy mi smakowitości.

Ergell uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Dobra z niej kucharka, to prawda – powiedział. – Próbowałem ją skusić, żeby pracowała dla nas tutaj, na zamku, ale obawiam się, że mi się nie udało.

Norris zajął miejsce na jednej z długich ław po bokach biurka.

– A zatem wprowadziłeś się do chaty Bartella?

Will przytaknął.

– Tak, Mistrzu Szkoły Rycerskiej. Jest całkiem przyjemna.

Ergell zaśmiał się krótko i chrapliwie.

– Z potrawami Edwiny, wyobrażam sobie, że jest – zgodził się. Ale Norris kręcił głową.

– O wiele dogodniej byłoby ci wprowadzić się tutaj, do zamku – powiedział rycerz. – Baron pozwoliłby ci posiadać własne pokoje, o wiele wygodniejsze niż licha chatka w lesie. I byłbyś bliżej w razie, gdybyśmy cię potrzebowali.

Will uśmiechnął się, przejrząwszy wybieg kryjący się za tą niewinną propozycją. Wprowadzając się do zamku, zrobiłby pierwszy krok w stronę subtelnej zmiany u steru władzy. Mogłoby to nie nastąpić od razu, ale rezygnacja z niezależności to byłby dopiero początek. Także stwierdzenie, że byłby bliżej w razie, gdyby go potrzebowali, niosło w sobie nie wypowiedzianą wprost sugestię, że ma być na każde skinienie ludzi z zamku. Will miał świadomość, że Ergell bacznie mu się przygląda, czekając na jego odpowiedź.

– Dziękuję, Mistrzu Szkoły Rycerskiej, chatka mi wystarczy – odparł. – No i to tradycja, że zwiadowcy posiadają własne kwatery poza zamkiem.

– Cóż, tak, tradycja – powiedział Norris lekceważącym tonem. – Czasami myślę, że zbyt wielką wagę przykładamy do rzeczy, które są „tradycją”.

Ergell zaśmiał się znowu, przełamując nieco krępujące milczenie, które zapadło po słowach Norrisa.

– Dajże spokój, Norris, wszyscy wiemy, jak zwiadowcy cenią sobie tradycję. Pamiętaj tylko – dodał, zwracając się do Willa – że oferta jest zawsze aktualna. Jeżeli w środku zimy w tej chatce zrobi się za zimno i będzie za dużo przeciagów, zawsze masz pokoje do dyspozycji tu, w mojej siedzibie.

Szybkie spojrzenie powiedziało Mistrzowi Szkoły Rycerskiej, że ten temat ma już nie być więcej poruszany. Norris wzruszył ramionami i zastosował się do życzenia, co dobrze o nim świadczyło. Will nie mógł ich tak naprawdę winić za starania, by zyskać na niego wpływ. Potrafił sobie wyobrazić, jak irytujące musiało być, gdy ktoś po cichu stał w pobliżu, dzień za dniem, patrząc im przez ramię, gdy zabierali się do swoich zajęć, składając raporty królowi o ich umiejętnościach i działaniach. Zwłaszcza, jeżeli ten ktoś był tak niedoświadczony jak on. Przynajmniej wyglądało na to, że udało mu się pokrzyżować im plany nikogo nie urażając.

– A więc dobrze, zwiadowco Treaty... – zaczął Ergell, a Will podniósł dłoń.

– Proszę, wasza wysokość – powiedział – byłbym uszczęśliwiony, gdybyś nazywał mnie po prostu Willem.

To był uprzejmy gest, zwłaszcza, że mówiąc to, Will jasno dał do zrozumienia, iż zwracając się do barona sam nadal będzie używać jego tytułu. Ergell uśmiechnął się z większą serdecznością niż ta, którą Will widział do tej pory. Jego gest nie przeszedł niezauważony.

– A zatem Willu. Jak właśnie miałem rzec, może moglibyśmy zaplanować oficjalny powitalny obiad za dwa dni od dziś? To da mojemu Kuchmistrzowi czas na przygotowanie czegoś odpowiedniego.

– A wszyscy wiemy, jak Kuchmistrzowie potrafią utrudniać życie, jeżeli nie damy im dostatecznie dużo czasu – odezwał się Norris, uśmiechając się smętnie. Will w odpowiedzi uśmiechnął się od ucha do ucha. Wyglądało na to, że Kuchmistrzowie byli tacy sami jak świat długi i szeroki, pomyślał. Atmosfera w pokoju znacznie się poprawiła.

– Zatem jeżeli nie ma innych spraw, wasza wysokość, to pozwolę sobie odejść – powiedział Will. Ergell skinął głową, a Norris ponownie wstał z ławy.

– Oczywiście, Willu – odpowiedział baron. – Jeżeli będziesz potrzebował czegoś w swojej chatce, daj znać Gordonowi. – Gordon był szambelanem, który wcześniej wprowadził Willa do gabinetu.

Will zawahał się, a potem odezwał się cicho:

– Masz moje pełnomocnictwo, panie. – Wskazał zwój pergaminu na biurku. Ergell kilkakrotnie pokiwał głową.

– Tak, tak. Bądź spokojny, że wkrótce je przejrzę. – Baron uśmiechnął się. – Chociaż jestem pewien, że nie jesteś oszustem.

Will uśmiechnął się w odpowiedzi. Ścisłe rzecz biorąc, Ergell powinien był złamać pieczęć i odczytać pełnomocnictwo od razu, kiedy tylko Will mu je wręczył. Wydaje się, że w lennie Seacliff postępuje się nieco niefrasobliwie, pomyślał. Ale być może po prostu czepiał się szczegółów.

– Oczywiście, wasza wysokość. – Spojrzał na Norrisa. – Mistrzu – powiedział, i rycerz raz jeszcze ucisnął mu dłoń.

– Dobrze mieć cię wśród nas, zwiadowco – powiedział.

– Willu – przerwał mu Will, uśmiechając się, i Mistrz Szkoły Rycerskiej skinął głową.

– Dobrze mieć cię wśród nas, Willu – poprawił się.

Will złożył nieco sztywny ukłon przed baronem, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

\*\*\*

Wróciwszy do chatki zastał suczkę leżącą tam, gdzie ją zostawił. Nie spała już, i kiedy wszedł, jej ogon uderzył o podłogę dwa czy trzy razy. Na stole stała jeszcze jedna miska i Will zobaczył, że jest w niej rosół z mięsem. Pod miską znajdował się mały kawałek pergaminu z niezdatnym rysunkiem przedstawiającym psa. Edwina, pomyślał Will. Rosół był jeszcze ciepły, więc postawił miskę na podłodze. Suczka ostrożnie podniosła się i przekuśtykała kilka kroków, żeby się do nie dostać. Jej język rozpoczął rytmiczne chlip-chlip-chlip, kiedy zjadała. Will podrapał ją za uszami, sprawdzając ranę na jej boku. Szwy nadal trzymały.

– Jak dobrze, że zostawiła rysunek, panienko – powiedział. – Bo inaczej mógłbym zjeść twój obiad.

Pies wciąż chleptał smakowity rosół. Aromat był wyborny i Will uświadomił sobie, że burczy mu w brzuchu. Edwina zostawiła także nieduży bochenek chleba do jego potrawy. Will odkroił sobie pajdę i pogryzał ją z apetytem, czekając, aż garnek podgrzeje się na piecu.

Następne dni wydawały się zlewać ze sobą, gdy Will zapoznawał się ze swoim nowym otoczeniem.

Powitalny obiad, który Ergell wydał na jego cześć w zamkowej jadalni, był całkiem miłym wydarzeniem. Ponieważ Will pełnił oficjalną funkcję, obecni byli wszyscy Mistrzowie Sztuk, tacy jak Zbrojmistrz, Mistrz Koniuszy i Mistrz Skrybów, a także rycerze związani z zamkiem oraz ich damy. Twarze i imiona mieszały mu się, ale Will wiedział, że w ciągu najbliższych tygodni zacznie je zapamiętywać i wiązać indywidualne cechy i charaktery z poszczególnymi osobami. wszyscy byli ciekawi spotkania z nowym zwiadowcą, a Will był na tyle przewidujący, by zdawać sobie sprawę, że poprzedza go zdobyta reputacja.

Jako były uczeń Halta, jednego z najwybitniejszych i najsłynniejszych członków Korpusu Zwiadowców, Will zawsze miał się cieszyć pewną sławą. Ale też to właśnie on odkrył i zniweczył tajne plany Morgaratha, niecnego pana Gór Deszczu i Nocy, kiedy ten zaatakował królestwo nieco ponad pięć lat temu. Później ochraniał księżniczkę Cassandrę podczas jej niewoli u skandiańskich morskich wojowników. Ten okres zwieńczyła wielka bitwa z Temudzainami, wojowniczymi jeźdźcami ze Stepów Wschodu, a na koniec podpisanie ze Skandianami paktu o nieagresji – traktatu, który od tamtej pory obowiązywał przez cały czas.

Tak właściwie to jego udział w doprowadzeniu do Traktatu z Hallasholm dał Willowi nazwisko, pod jakim był znany obecnie – Will Treaty, czyli Traktat. Wychowując się jako sierota na Zamku Redmont, w dzieciństwie nie znał swojego nazwiska.

A zatem być może to naturalne, że ludzie byli zaskoczeni widząc, jaki jest młody, a nawet, w niektórych przypadkach, stwierdzali, że pomylili go z jakimś innym zwiadowcą – kimś, kto musiał być starszy i o wiele pokaźniejszej postury. W ciągu lat spędzanych u Halta, Will często był świadkiem, jak na twarzach ludzi malowało się niedowierzanie, kiedy po raz pierwszy spotykali drobnego człowieka o szpakowatej brodzie, którego zmierzwione włosy wyglądały tak, jakby obcinał je swoim własnym nożem – saksą. Ludzie spodziewali się, że ich bohaterowie sprostają romantycznemu wyobrażeniu. Fakt, że większość zwiadowców cechował dosyć niski wzrost, chociaż byli silni, zwinni i prędko się poruszali, zdawał się przeczyć powszechnemu przekonaniu.

I tak Will zetknął się z atmosferą zaskoczenia, a nawet lekkiego rozczarowania, kiedy spotykał swoich nowych sąsiadów – zwłaszcza wśród wysoko urodzonych dam. Seacliff było zaściankiem, tak jak przypuszczał, i przybycie sławy – kogoś, komu król Duncan osobiście składał podziękowania za ochronę jego córki – wzbudziło wielkie oczekiwania. Jeżeli rzeczywistość nie całkiem sprostала oczekiwaniom ludzi, no cóż, po prostu szkoda, pomyślał Will.

Jeżeli zaś chodziło o niego, to im więcej widział w Seacliff, tym bardziej rosło jego własne poczucie rozczarowania. To było miłe lenno, usytuowane w pięknym rejonie królestwa. Jednak lata pokoju i bezpieczeństwa przyniosły ze sobą beztroskę i zaniedbania w zamkowym garnizonie. Zaś winę za te zaniedbania można było przypisać tylko baronowi i jego Mistrzowi Szkoły Rycerskiej. Stawiało to Willa w niezręcznej sytuacji, ponieważ czuł szczerą sympatię i szacunek dla obu tych ludzi. Jednak nie dało się zaprzeczyć, że przygotowanie i wyszkolenie wśród rycerzy i zbrojnych utrzymywanych przez Ergella było znacznie poniżej dopuszczalnego poziomu.

Całymi dniami rozważał, jak mógłby zwrócić uwagę barona na tę sprawę, nie sprawiając mu ujmy. Sugerował tak wyraźnie jak tylko mógł, że wydawało się tu być nieco zbyt... wygodnie. Ale Ergell i Norris zaśmiewali się z tych komentarzy, traktując je jako pochwały swobodnego i przyjemnego sposobu życia w Seacliff.

Każdy baron w królestwie był zobowiązany utrzymywać oddział konnych rycerzy i zbrojnych, żeby zapewniać w lennie królewski pokój. A na wypadek wojny, każdy zamek miał wysłać swoich ludzi, by dołączyli do królewskiej armii pod dowództwem króla Duncana i jego rady przybocznej. Wielkie lenno, takie jak Redmont, miało utrzymywać łączne siły kilkuset konnych oraz piechotę. Seacliff, jako jedno z mniejszych lenn, miało obowiązek wystawić pół tuzina rycerzy, dziesięciu czeladników Szkoły Rycerskiej oraz oddział piechoty składający się z dwudziestu pięciu zbrojnych. W razie potrzeby do dyspozycji był również nieregularny oddział piętnastu łuczników, którego członków werbowano spośród wieśniaków i chłopów mieszkających w okolicy.

Podczas kilku tygodni w Seacliff Will nie zobaczył jeszcze żadnej formalnej musztry rycerzy i zbrojnych. Odbywały się jakieś ćwiczenia z bronią, zwoływane, jak się wydawało, w przypadkowych odstępach czasu, ale brakowało jakiegokolwiek prawdziwego planu szkolenia i ćwiczeń praktycznych – tego rodzaju nieustannej pracy, jaką wojownicy musieli wykonywać, żeby utrzymać się w formie. Ponadto uczniowie Szkoły Rycerskiej, pod ogólnym przewodnictwem pana Norrisa oraz jego dwóch starszych rycerzy, byli opieszali w swoich ćwiczeniach, i nawet w oczach młodego Willa poziom ich umiejętności wydawał się odstawać od poziomu ich rówieśników w innych Szkołach Rycerskich.

Jedynym, w czym celowało Seacliff, była kuchnia. Kuchmistrz Rollo był w rzeczy samej prawdziwym mistrzem, a jego zdolności konkurowały z talentem Mistrza Chubba z Redmont, długo uważanego za jednego z najwspanialszych kucharzy królestwa. Być może po części to stanowiło problem, pomyślał Will. Życie w Seacliff było zbyt spokojne, zbyt przewidywalne.

Tym samym było wygodne.

W tym czasie Will kilkakrotnie udawał się też na stały ład oraz odwiedzał niektóre inne wioski i osady leżące o dzień albo mniej jazdy konno od zamku. Podczas kilku takich wypraw odkładał na bok symbole pozycji, jaką zajmował jako zwiadowca – szaro-zieloną cętkowaną pelerynę, długi łuk i charakterystyczną podwójną pochwę z nożami – i wybierał przebranie zwykłego wieśniaka w podróży. Odkrył, że ludzie bardziej swobodnie rozmawiali przy nieznanym podróżnym niż gdyby mieli w swoim gronie jednego z członków tajemniczego Korpusu Zwiadowców. Will wyczuwał, że nie wszędzie dobrze się działo w lennie Seacliff. Życie w zamku mogło sobie być całkiem wygodne. Życie wśród oddalonych osad i gospodarstw już takie nie było.

Krażyły plotki o rozbójnikach i bandytach zasadzających się na samotnych podróżnych. O nieznanym, którzy byli napadani, a w niektórych przypadkach także ślad po nich ginął. To były tylko pogłoski, a Will wiedział, że wieśniacy, wiodący dosyć jednostajny żywot, mieli skłonność do wyolbrzymiania wszystkiego, co różniło się od codzienności, tak że nabierało olbrzymiej skali. Jednak słyszał te plotki wystarczająco często, żeby wyczuwać, iż tkwi w nich co najmniej ziarno prawdy. Kilkakrotnie też słyszał, jak wymieniano nazwisko Buttle – przeważnie z wahaniem, które graniczyło ze strachem.

Z dobrych rzeczy, suczka z każdym dniem nabierała sił i praktycznie wydobrzała już po ranie w boku. Teraz, kiedy mogła się swobodnie poruszać, Will zorientował się, że jest bardzo młoda, zapewne to jeszcze prawie szczeniak. Ale reputacja, jaką owczarki cieszyły się dzięki wierności i inteligencji, nie była przesadą. Pies stał się nieodłącznym towarzyszem dla niego i Wyrwija, mogąc przez cały dzień z wrodzoną łatwością biec obok małego konika.

Z początku koń wydawał się co najwyżej rozbawiony obecnością czarno-białego przybysza, ale z biegiem czasu wyglądało na to, że Wyrwij polubił jego towarzystwo, a także dodatkową ochronę, jaką pies wznosił do ich nocnych obozowisk, kiedy Will poznawał swoją nową krainę. Wyrwij przywykł służyć Willowi za wartownika – wszystkie konie zwiadowców zostały w ten sposób wyszkolone. Pies wspomagał go w tym zadaniu, a jego zmysł węchu był bardziej wyczulony niż Wyrwija. Oba zwierzęta, związane swoją lojalnością wobec ich młodego pana, prędko poczuły wzajemną sympatię i dobrze się rozumiały współpracując ze sobą w oparciu o zdolności jednego i drugiego.

Trzy tygodnie po przybyciu Willa do Seacliff wydarzenia dojrzały do tego, by nie dało się ich już dłużej ignorować – przynajmniej jeżeli chodziło o niezadawalające szkolenie oddziału wojsk barona. Will opierał się o swój długi łuk, obserwując czeladników Szkoły Rycerskiej podczas popołudniowych ćwiczeń z mieczem. Odziany w swoją pelerynę i z kapturem na głowie, stał w cieniu niewielkiej kępy drzew za placem ćwiczeń, praktycznie niewidoczny tak długi, dopóki się nie poruszy. Pies, który nauczył się już rozumieć potrzebę pozostawania w bezruchu i ukrywania się, leżał obok niego w wysokiej trawie, z nosem na przednich łapach. Jedynym ruchem, jaki wykonywał, było drgnięcie ucha od czasu do czasu albo poruszenie oczami, żeby sprawdzić, czy Will nie daje mu jakichś znaków.

Will zachmurzył się, obserwując walki na miecze czeladników. Ich ruchy były poprawne z technicznego punktu widzenia. Jego niepokoił jednak brak zapału, zainteresowania wykonywaną pracą. Ćwiczenie było ćwiczeniem i niczym więcej. Nie wykraczali poza szkolenie w stronę realiów, którym ono służyło. Jego stary przyjaciel Horace, teraz rycerz na królewskim dworze Aralenu, jako czeladnik też wykonywał wszystkie te ruchy w trakcie niezliczonych lekcji. On jednak wykonywał je z pasją, rozumiejąc, że nabyta w trakcie treningu umiejętność walki bez kalkulowania każdego kolejnego posunięcia, w bitwie będzie oznaczała różnicę między życiem a śmiercią. Instynktowna bezbłędna precyzja Horace'a ocaliła Willowi życie co najmniej raz podczas bitwy pod Hallasholm.

Przyglądając się grupie, Will nie dostrzegał ani krzty takiego instynktu czy animuszu. Co gorsza, nie wiedział ich także u instruktorów – a przecież byli to pełnoprawni rycerze. Will zmarszczył czoło. Tylko nieco ponad tydzień pozostał mu do złożenia jego pierwszego comiesięcznego raportu dla kwatery zwiadowców, jak się rzeczy mają w Seacliff. Już wiedział, że raport będzie niepochlebny.

Usłyszał głos jeszcze zanim zobaczył krzyczącego człowieka. Parę sekund później dostrzegł przysadzistą sylwetkę zbliżającą się od strony drzew poniżej zamku, biegnącą i wrzeszczącą, wymachującą rękoma, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie dawało się jeszcze rozróżnić słów, ale z tonu głosu i gestów mężczyzny jasno

wynikało, że alarmuje o zagrożeniu.

Suczka także to wyczuła. Z gardła dobył się jej cichy warkot, i zaalarmowana podniosła się lekko, na wpół przyczajona.

– Spokojnie – ostrzegł ją Will, a ona posłusznie zastygła. Brzęk ćwiczebnej broni na placu ćwiczeń zamarł, gdy coraz więcej ludzi zauważało krzyczącą i biegnącą postać.

Teraz Will zdołał usłyszeć wykrzykiwane słowa:

– Morskie wilki! Morskie wilki!

To były słowa, które mroziły krew w żyłach mieszkańców Araluenu przez długie wieki. Morskie wilki to byli łupieżcy ze Skandii, którzy przypliwali ze swojej pokrytej śniegiem i porośniętej sosnami krainy na północy, żeby napadać na miłe i spokojne wybrzeża Araluenu, Galli i pół tuzina innych krajów. Budzący grozę w swoich ogromnych rogatych hełmach i siejący straszliwe zniszczenie swymi mocarnymi toporami bojowymi, Skandianie ze swymi wilczymi okrętami byli jak senny koszmar.

Ale nie tutaj. Nie w ciągu ostatnich czterech lat, odkąd Erak Starfollower, nowo wybrany oberjarl Skandian, złożył swój podpis na traktacie z Araluenu. Ścisłe rzecz biorąc, treść traktatu zakazywała zorganizowanych masowych napaści Skandian na królestwo Araluenu. Jednak w praktyce położyło to kres również indywidualnym napadom. Choć Erak nie mógł zabronić swoim szyptom łupieżczych wypraw, wiadomo było, że zdecydowanie jest im przeciwny, czując, że ma honorowy dług wobec małej grupki Araluńczyków, którzy ocalili jego ojczyznę przed inwazją Temudzainów. A skoro Erak czegoś nie pochwalał, to coś po prostu nie miało miejsca.

Krzyczący człowiek zbliżył się teraz do placu ćwiczeń, chwiejący się na nogach i zadyszany. Sądząc po ubiorze, był rolnikiem.

– Skandianie – wysapał. – Morskie... wilki... na Bitterroot Creek... Skandianie.

Wyczerpany, oparł się ciężko o ogrodzenie placu ćwiczeń; jego pierś i ramiona drżały z wysiłku. Pan Norris pospiesznie przeszedł przez plac, żeby się z nim spotkać.

– Co takiego? – spytał. – Skandianie? Tutaj?

W jego tonie zabrzmiała nutka zatroskanego niedowierzania. Pomimo całego braku zapału przy szkoleniu ludzi, Will wiedział, że Norris zna się na swoim fachu. Mógł zrobić się niedbały i pobłażliwy w ciągu lat pokoju, jakim cieszyło się teraz Seacliff, ale stając w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa posiadał dosyć doświadczenia, by uzmysłwić sobie, że jest w tarapatkach. Jego ludzie nie byli przygotowani na zagrożenie, jakie stanowił prawdziwy wróg.

Rolnik wskazywał za siebie, w kierunku, skąd przybył, kiwając głową na potwierdzenie prawdziwości tego, co właśnie powiedział.

– Skandianie – powtórzył. – Widziałem ich tam, gdzie Bitterroot Creek wpływa do morza. Setki ich było! – dodał, i tym razem rozległ się pomruk zaniepokojenia ze strony czeladników i rycerzy, którzy zgromadzili się wokół niego.

– Cisza! – warknął Norris.

Will, który podszedł niezauważony, odezwał się wprost do wieśniaka:

– Ile wilczych statków? Widziałeś je?

Rolnik odwrócił ku niemu głowę i po jego twarzy przemknął wyraz nieufności, gdy dotarło do niego, że rozmawia ze zwiadowcą.

– Jeden – odpowiedział. – Olbrzymi był, z wielgachną wilczą głową na dziobie! Widziałem go zupełnie jak was teraz.

Znowu rozległ się pomruk strachu i domysłów wypowiedianych przez zgromadzonych wokół ludzi. Norris odwrócił się gniewnie i głosy ucichły. Will napotkał spojrzenie Mistrza Szkoły Rycerskiej.

– Jeden statek – odezwał się. – To najwyżej czterdziestu mężczyzn.

Norris przytaknął.

– Raczej bliżej trzydziestu, jeżeli zostawiają strażę na pokładzie – powiedział.

W sumie nie poprawiało to sytuacji. Trzydziestu Skandian biegających po wyspie Seacliff to praktycznie siła nie do powstrzymania. Klepsko wyszkoleni, nieprzygotowani zbrojni i rozleniwieni rycerze, z których składało się wojsko, mogli stawić niewielki opór dzikim piratom. Norris o tym wiedział. Mistrz Szkoły Rycerskiej wyklinał własną opieszałość, zdając sobie sprawę, że ponosi winę za tę sytuację. To jego obowiązkiem było podjąć działania – odpowiadał też jednak za coś jeszcze, a było to życie mężczyzn, którym przewodził. Poprowadzenie ich do bitwy przeciwko zahartowanej, zaprawionej w bojach bandzie Skandian równałoby się poprowadzeniu ich na śmierć.

Will wyczuł rozterki rycerza – ich praktyczny i moralny aspekt.

– I tak groźnie przewyższają was liczebnie – odezwał się. Oficjalnie oddział liczył dwudziestu pięciu zbrojnych. Jednak w tak krótkim czasie Norris miałby szczęście, gdyby udało mu się zebrać dwudziestu – do tego w najlepszym razie ze trzech czy czterech rycerzy. Zaś co do czeladników, Will aż zadrzał na myśl o stawianiu oporu zdeterminowanym Skandianom i ich toporom bojowym przez nieudolną grupę, której się wcześniej przyglądał.

Norris zawahał się. Wiódł uprzywilejowane życie, tak jak wszyscy dobrze urodzeni. Ale na przywileje trzeba było zapracować i płacić za nie w chwilach takich, jak ta. Teraz, kiedy go potrzebowano, on nie był gotowy, nie był w stanie obronić ludzi, którzy na nim polegali.

– Nie ma sensu, byś prowadził swoich ludzi na pewną śmierć – Will odezwał się cicho, tak żeby tylko Mistrz Szkoły Rycerskiej go usłyszał. Dłoń Norrisa zacisnęła się i rozluźniła na rękojeści miecza, który nosił u boku.

– Musimy coś zrobić... – odpowiedział niepewnie.

Will przerwał mu spokojnym głosem.

– I zrobimy – oświadczył starszemu mężczyźnie. – Sprowadź wieśniaków w obręb murów, nie wezmą tyle dobytku, ile zdołają udźwignąć. Każ wygonić zwierzęta na pola. Rozpędź je, tak, żeby Skandianie musieli je ścigać, jeżeli się na nie połączą. Niech twoi ludzie czekają z bronią i w gotowości. I zapytaj Mistrza Rollo, czy może naprędce przyszykować coś na ucztę.

Norris nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Ucztę? – spytał, całkiem zbity z tropu.

Will skinął głową.

– Ucztę. Nic wielkiego. Jestem pewien, że potrafi coś dla nas upichcić. Tymczasem ja pojedę i rozmówię się z tymi Skandianami.

Oczy Mistrza Szkoły Rycerskiej rozszerzyły się, gdy spojrział na opanowaną młodą twarz przed sobą.

– Rozmówisz się z nimi? – powtórzył, odrobinę głośniejszym głosem niż zamierzał. – Jak niby masz zamiar ich powstrzymać od zaatakowania nas tym, że z nimi pomówisz?

Will wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że poproszę ich, żeby tego nie robili – odpowiedział. – A potem miałem zamiar zaprosić ich na obiad.